

na granicy zmysłów

tego
nie
pokazała
kamera

PRZEMEK KOSSAKOWSKI



PRZEMEK
KOSSAKOWSKI
na granicy zmysłów



OTWARTE

KRAKÓW 2014

Copyright © by Przemysław Kossakowski

Redaktor prowadzący: Magdalena Oczachowska

Redakcja tekstu: Robert Chojnacki

Opracowanie typograficzne książki: Agnieszka Szatkowska

Projekt wkładek: Katarzyna Zalewska / Pracownia Register

Adiustacja: Katarzyna Kolowca-Chmura / oda-doz.com.pl

Korekta: Dariusz Godoś / oda-doz.com.pl,
Katarzyna Kierejsza / oda-doz.com.pl

Łamanie: Stefan Łaskawiec / oda-doz.com.pl

Projekt okładki, s. 1–3 i działowych: Eliza Luty

Fotografia na 1 s. okładki: © TTV/ Radek Wikiera

Fotografie na 4 s. okładki: © TTV

ISBN 978-83-7515-326-2 (oprawa broszurowa)

ISBN 978-83-7515-329-3 (oprawa zintegrowana)



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2014.
Druk: Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków

*Lidce Kazen, która wierzyła we mnie,
kiedy reszta miała już poważne wątpliwości*

WIEDZA

Ułan Ude, Buriacja, Rosja, sierpień 2013

Stoję pod wiatą przed domem z szarych pustaków. W drewniany daszek bębnią krople. Zaczęło padać podczas rytuału oczyszczania i teraz patrzę na zamazującą się w deszczu, coraz mniej wyraźną panoramę Ułan Ude. Kucam i wyciągam przed siebie dłoń, wkładam ją pod ciekącą z nieba wodę. Wszystko widzę w nienaturalnej wyrazistości. Wszystko jest ostre, kolory bardziej intensywne niż te, które zapamiętałem sprzed wejścia do brzydkiego domu z szarych pustaków. Wypłowiałe szmaty na szamańskim totemie teraz są soczyście błękitne, z oklejonych resztkami skóry i gnijących mięśni czaszek niedźwiedzi spływa czerwień. Patrzę na dłoń, widzę każdą kroplę deszczu, wiem, że gdybym chciał, mógłbym je policzyć. Policzyć krople deszczu na swojej dłoni i te bębniące w parapety szarych bloków w Ułan Ude. Ale mi się nie chce, nie dbam o to. Wiem też, że jestem w stanie zrozumieć wszystko, naturę rzeczy, świata, ludzi, mógłbym wiedzieć wszystko, jeżeli miałbym takie życzenie. Ale

tego też nie chcę. Jestem zmęczony. Patrzę więc na dłoń odciętą od reszty mojego ciała kurtyną kropli spadających z drewnianego daszku przed domem z szarych pustaków i nie myślę nic. Ktoś staje obok mnie. Szamanka Marina. Chwilę na mnie patrzy, a potem nachyla się w aureoli siwych włosów, jej pomarszczone usta prawie muskają moje ucho.

– Już wiesz, prawda? – mówi Marina i patrzy mi w oczy. Czekaj, co odpowiem.

Tak, to prawda, wiem. Z tym że to też w tej chwili niewiele mnie obchodzi. To dziwne, przez lata szukałem dowodu, szukałem przejścia na drugą stronę, a kiedy udało mi się w końcu tam zajrzeć, nie ma we mnie ani radości, ani najmniejszego nawet podniecenia. Ale jednak zajrzałem i teraz, patrząc w oczy szamanki Mariny, powoli kiwam głową. Kiwam, że wiem, że zajrzałem, że mam swój dowód, że poczułem to, poczułem z taką mocą, że teraz już wiem, wiem ponad wszelką wątpliwość. Marina dotyka słonego śladu na moim policzku. Palec szamanki sunie po nim od oka w dół, zatrzymuje się na mojej brodzie.

– Nie martw się – mówi szamanka. – To przejdzie, zawsze przechodzi.

Uśmiecha się jak dziecko, któremu udała się psota, odchodzi i znowu jestem sam.

A ja zastanawiam się nad tą pustką we mnie, skąd się wzięła i czy zostanie, czy nie; czy tak będę trwał i nic mnie już nigdy ani nie rozbawi, ani nie przestraszy, ani nie wzruszy. Nagle nawiedza mnie wspomnienie, jak dwa lata wcześniej nie poszedłem do pośredniaka na łódzkim Widzewie, wskutek czego

utraciłem prawo do świadczeń. Jak wyruszyłem w podróż. Samochodem, który miał w lewym przednim kole ducha mężczyzny w średnim wieku. To wspomnienie mnie rozśmiesza i parskam śmiechem. Śmieję się do siebie, aż pękają słone ślady po łożach na mojej twarzy, i jest mi dobrze.

CZĘŚĆ I

jak to się zaczęło

PANI Z WYSOKIEGO ZAMKU

Warszawa, styczeń 2012

Pani księgowa, odkąd zrozumiała, że to nie jest żart, ma minę osaczonej sarny.

– Co to jest? – powtarza bezradnie raz po raz. – Jak ja mam to zaksięgować?

Odpowiadam, że nie wiem, gdyż nie mam głowy do rachunkowości. Mówię też, że mogłem zapłacić z własnej kieszeni, ale uznałem, iż nie byłoby to właściwe, i mam nadzieję, że ona to zrozumie. Przedmiot opętania jest własnością stacji i sądzę, że opłata za egzorcyzmy powinna zostać uiszczona z funduszy służbowych. Pani księgowa nie ma zastrzeżeń co do logiki mojego rozumowania, jednak to nie zmienia faktu, że nie wie, co ma zrobić z rachunkiem. Jak zaksięgować. Rachunek sam w sobie jest bez zarzutu. Jest czytelny podpis i jest pieczętka. Data jest. Treść dokładnie i w sposób pozbawiony jakichkolwiek wątpliwości mówi, z jakiego tytułu została pobrana opłata. Powiedzmy sobie szczerze, pięćdziesiąt nowych złotych polskich

to nie jest wygórowana cena za egzorcyzm. Pani księgowa nie spiera się ze mną, zgadza się z grubsza, że pięćdziesiąt złotych to nie jest przesadne roszczenie. Zwłaszcza że problem dotyczył potencjalnej katastrofy drogowej, a co za tym idzie, niebezpieczeństwa dla zdrowia, a może i życia podróżującego pojazdem. Nie zmienia to jednak faktu, że nie sposób tego zaksięgować. No bo jak? Jaki tytuł? Bardzo chcę pomóc, nachyliłam się nad panią księgową i zaczynam szeptać. Jak spiskowiec...

Łódź, dwa miesiące wcześniej

Siedzę w samochodzie, chociaż jest więcej niż prawdopodobne, że powinienem zająć się czymś pożytecznym. Być może na przykład znaleźć sobie jakąś porządną pracę. Albo iść na spacer. Możliwości jest właściwie nieskończenie wiele, jednak z niewyjaśnionych dla mnie powodów wybrałem właśnie siedzenie w samochodzie.

Przez dziurę w podłodze widzę zalegający parking piach i kępkę trawy. Trawa rośnie bez przekonania, jakby wiedziała, że nie powinno jej tu być i jej czas jest policzony. Oprócz kępki w dziurze widać tylko piach. Kiedy pada deszcz, zamienia się w błoto, kiedy jest gorąco, zamienia się w pył. Teraz jest ciepło, ale dwa dni temu padało, w związku z czym piach ma

problemy z tożsamością. Błotem już być nie może, na pylenie jeszcze go nie stać. Więc jest nijaki. Przypatruję mu się przez dziurę w podłodze.

Dziura ma owalny kształt, poszarpane blaszane brzegi i przypomina plakat do filmu grozy. Myślę, że jeszcze kilkaset kilometrów i parę dni deszczu, a nabierze dostatecznej wielkości, żeby zmieściła się w niej stopa. Będę jechał któregoś dnia, zamyślę się albo po prostu będę chciał zmienić bieg, a moja noga ześlizgnie się ze sprzęgła i wpadnie w dziurę. Dziura połknie moją stopę, a ta pociągnie za sobą resztę mnie i będzie to jedyny w historii motoryzacji wypadek, kiedy człowiek przejedzie sam siebie samochodem, którym podróżuje. Jednak lubię ją. Mam w podłodze samochodu kilka dziur, ale ta jest moją ulubioną, fascynuje mnie. Często patrzę przez nią w czasie jazdy na umykający asfalt.

Słyszę sygnał połączenia przychodzącego, komunikat na wyświetlaczu informuje mnie, że dzwoni Pani z Wysokiego Zamku. Wciskam klawisz opatrzony symbolem zielonej słuchawki i przykładam telefon do ucha.

Pani z Wysokiego Zamku pyta, czy pamiętam ten projekt o znachorach. Ten, który przysłałem parę miesięcy temu i ona powiedziała, że jest interesujący, tylko to nie jest sprawa na teraz, i że się wstrzymujemy, i żebym czekał, co będzie dalej. Czy pamiętam? Mówię do telefonu, że pamiętam, jak mógłbym zapomnieć, i pytam, dlaczego zasadniczo do tego wraca. A ona na to, że to się stała sprawa na teraz i że ona proponuje, żebym się zajął dokumentacją. Jeżeli oczywiście chcę. Ja jej na to, że zająć

się mogę, nie widzę żadnych przeciwwskazań, żeby zajmować się dokumentacją, pod warunkiem że ona będzie w stanie mi wyjaśnić – ale tak, żebym zrozumiał – co to takiego jest ta dokumentacja. Pani z Wysokiego Zamku odpowiada, że ona nie jest tu od tego, żeby mi wyjaśniać rzeczy podstawowe, gdyż jej się wydaje, iż nie jest moją matką i wiele wskazuje, że nią nie będzie, i że czasem żałuje, że zadaje mi pytania, bo kiedy odpowiadam, to ona czuje, że traci do mnie szacunek, a ja podobnymi odpowiedziami sam sobie szargam reputację. Ale moja reputacja jest moją sprawą i że chyba znam Panią z Wysokiego Zamku na tyle, żeby wiedzieć, że ona ponad wszystko nie lubi braku zdecydowania. Więc niech ja jej odpowiem teraz na pytanie, czy jestem zainteresowany, czy też przypadkiem nie.

Odrywam wzrok od dziury i patrzę przez brudną przednią szybę. Dwadzieścia metrów przede mną, trochę w lewo, jest piaskownica. W tej piaskownicy nigdy nie bawią się dzieci. A przynajmniej ja tego nie widziałem. Dzieje się tak dlatego, że piaskownica została zaanektowana. Przesiadują w niej sąsiadki. Z klatki schodowej. To takie miejsce spotkań. O czym się tu dyskutuje, nie wiem. Ilekroć wychodzę z klatki albo pojawiając się na chodniku z zamiarem wejścia, dyskusja cichnie. Sąsiadki obserwują mnie bez słowa i odprowadzają wzrokiem, dopóki im z zasięgu wzroku nie zniknę. Siedzą przy tym w absolutnym bezruchu. Zupełnie nienaturalnym, jak gady, jak warany z Komodo. Warany zajęły dzieciom piaskownicę i nikt na to nie reaguje. Ani policja, ani służby weterynaryjne. Mógłbym przysiąc, że w tym bezruchu nawet nie mrugają oczami. Nie oddychają,

nie wykluczam, że może nawet trochę nie żyją. Być może kiedy się pojawiają, zaburzam w jakiś sposób równowagę ich świata. Nie pasuję do określonego wzorca i to, że jestem, wygina rzeczywistość i zmusza je do zawieszenia funkcji życiowych, dopóki rzeczywistość się nie odegnie i nie wróci na właściwe tory. Piaskownica jest zajęta od rana do późnych godzin wieczornych.

Idę *va banque* i mówię, że tak, mogę się zabrać za dokumentację, czemu nie, nie takie rzeczy robiłem w życiu, więc i dokumentację, cokolwiek to jest, zrobić też mogę. Na przykład niedawno wróciłem z Francji, gdzie przez półtora miesiąca pielilem cykorię. Wstawałem o piątej rano, jadłem śniadanie i jechałem na pole, gdzie przez dwanaście godzin z przerwą na drugie śniadanie i udar mózgu chodziłem po polu i wrywałem chwasty. A jeszcze zanim to nastąpiło, pracowałem kilka dni w chlewni. Nauczyłem się tam tatuować świnię oraz nabyłem wiedzę, jak zabić stukilogramowego tucznika młotkiem, bo zgodny z normami Komisji Europejskiej pneumatyczny pistolet na bolce się zepsuł. Tak więc jeżeli byłem w stanie się nauczyć, jak skrócić cierpienia ssaka młotkiem, to dlaczego mam nie napisać dokumentacji?

W słuchawce zapada cisza i mógłbym przysiąc, że słyszę, jak ktoś liczy do dziesięciu. Potem Pani z Wysokiego Zamku mówi, że dokumentację już napisałem kwartał temu i nawet ją przesłałem za pośrednictwem poczty elektronicznej, i że teraz chodzi nie o to, żeby dokumentację pisać, tylko żeby na dokumentację jechać. Pobrać z magazynu sprzęt, pobrać samochód i jechać. Mam ochotę zapytać, o jaki sprzęt chodzi, z jakiego magazynu

i co to za samochód, ale się powstrzymuję, bo instynktownie czuję, że takimi pytaniami mogę się – jak to się mawia – pograć. Więc pytam tylko, kiedy mam to wszystko pobrać i kiedy mam jechać. Pani z Wysokiego Zamku na to, że pojutrze rano. I że sprzęt tak z grubsza jest już nawet zamówiony. Mówię, że akurat ten termin może być problematyczny, gdyż tak się niefortunnie składa, że pojutrze mam wizytę w biurze pośrednictwa pracy, a takie spotkanie jest szalenie trudno przebieść, może nawet jest to niemożliwe. I jeżeli ja się pojutrze nie stawię o ustalonej porze, to stracę świadczenia, a tego wolałbym uniknąć. Pani pyta, co mi to daje, bo ona o tych moich comiesięcznych wizytach słyszy już jakiś czas i nawet ją to nurtuje, w jakim ja celu te wizyty składam. Ile mi w tym urzędzie pracy płacą na miesiąc. Ja na to, że zasadniczo nie płacą mi w ogóle, bo jeszcze do tej pory w życiu nie przepracowałem dostatecznie długo legalnie i ponadto bez przerwy, żeby uzyskać świadczenie pieniężne. Wizyty w urzędzie pracy składam dla przywileju ubezpieczenia zdrowotnego. Jeżeli zdarzy mi się na przykład gorączkować albo pojawi się katar, to ja sobie zupełnie spokojnie, jak jakieś panisko, mogę iść do lekarza pierwszego kontaktu i on mnie przyjmie, a ja za to nie zapłacę, bo mam taką specjalną książeczkę, a w niej mam powbijane pieczętki z urzędu. I ta książeczka, i te pieczętki nie pozwalają brać ode mnie pieniędzy lekarzowi zarówno pierwszego kontaktu, jak i lekarzowi ze specjalizacją.

Ale to nie wszystko. Moja comiesięczna pielgrzymka do urzędu pracy to coś więcej niż tylko darmowe świadczenia

medyczne. Ma charakter egzystencjalny. Albowiem jest to jedyna pewna rzecz w moim życiu. Człowiek potrzebuje pewności, jakiegoś rodzaju przewidywalności. Kotwiczę w nich, daje mu to punkt odniesienia, żeby mógł ocenić siebie i miejsce, w którym się znajduje. Ja mam jeden taki punkt nawigacyjny. Mój punkt, punkt odniesienia, znajduje się właśnie tam, w urzędzie pracy. Raz w miesiącu zjawiam się tam, stoję przed specjalną maszyną do aranżacji kolejki i na jej dotykowym monitorze wpisuję to, co człowiek na moim miejscu wpisać powinien. Maszyna piszczy, potem mruczy i z wąskiego otworu pod monitorem wysuwa się kartonik z trzema numerami. Pierwszy to numer pokoju, drugi – numer stanowiska, a trzeci numer... trzeci numer to jestem ja.

Biorę kartonik i idę przed właściwe drzwi. Potem siadam pod ścianą i czekam. Co pewien czas zerkam na trzymany w dłoni kartonik i porównuję numer, który oznacza mnie, z tym na wyświetlaczu nad drzwiami. Kiedy na wyświetlaczu pojawia się rząd cyfr identyczny z tym na kartoniku, wstaję, pukam, wchodzę i mówię: „Dzień dobry”. Tak jest co miesiąc. To, co następuje potem, kiedy już powiem: „Dzień dobry”, też powtarza się co miesiąc.

– No niestety, gdyby był pan, no, sama nie wiem... gdyby był pan na przykład katechetą, to tak, dla katechetów oferty się zdarzają. Może nieczęsto, ale są. Nie można powiedzieć, że dla katechetów nie ma, że nie mogą się zatrudnić. Albo gdyby chemia na przykład, chemia, fizyka, język polski. No gdyby pan takie rzeczy, to tak! Ale nauczyciel przedmiotów artystycznych...

no to nie. Takie coś? Nie! Wie pan, odkąd pracuję tutaj, to nie pamiętam, żeby nauczyciel przedmiotów artystycznych... Agnieszka, a ty miałś kiedyś coś takiego, żeby dla nauczyciela przedmiotów artystycznych? Żeby ktoś takiego chciał? Szkoła albo jakieś, nie wiem, ognisko czy dom kultury? Pamiętasz? Miałś coś takiego?

Pani Agnieszka, Jola, Maria czy będący na przyuczeniu, na stażu, wschodząca gwiazda budżetówki Mariusz kręcą głowami, nikt z nich nie słyszał o takim dziwie jak oferta pracy dla nauczyciela przedmiotów artystycznych.

– Więc, proszę pana, tutaj panu przykładam, na tym blankiecie, pieczętkę i wyznaczam panu kolejną wizytę za miesiąc. Powiedzmy... powiedzmy, trzynastego niech pan przyjdzie. A tak w ogóle pan maluje? Zajmuje się pan tym? Czy tylko uczy?

Odpowiadam, że jeszcze niedawno malowałem, ale mi przeszło i aktualnie tak jakoś nie za bardzo maluję. Że mnie wena opuściła. Natchnienia nie mam.

– No tak, natchnienie u artysty święta rzecz. Ale gdyby tak pan wziął i tak na zamówienie. Na zamówienie nie namalowałby pan czegoś? Bo wie pan, ja to sobie myślę, że chciałabym zamówić taki obrazek. Niewielki. Takiego Żyda, który liczy pieniądze, bym chciała. Takiego Żyda to, wie pan, można i nawet łatwo kupić, ale ja bym chciała takiego, jak by to powiedzieć, żeby ktoś indywidualny takiego Żyda namalował. Żeby ten Żyd miał wyraz. Żebym ja wiedziała, że to pan namalował. Żeby on był, ten Żyd, taki indywidualny, a nie taki jak wszędzie. Wie pan, oni to wszystko teraz malują w Chinach, każdy Żyd taki

sam, zupełnie jak Chińczycy, nie odróżni pan jednego od drugiego. No nie da się rozróżnić, pan wie, o co mi chodzi, prawda?

Mówię, że wiem, że całe piękno i szlachetność sztuki wynikają z jednorazowości, niepowtarzalności, że nie ma dwóch takich samych obrazów, rzeźb czy rysunków. Że tym sztuka różni się od rzemiosła. Ale niestety nie maluję Żydów liczących pieniądze. Nie umiem. Wiem, że nie umiem, mimo że nigdy nie próbowałem. Ale wiem to instynktownie. Najważniejsze w byciu artystą, jak i człowiekiem w ogóle, to znać swoje ograniczenia. A w tym konkretnym wypadku wiem, że nie umiem, nie potrafię. To dla mnie jak narysować konia na przykład. Koń jest moim ograniczeniem. Nie jestem w stanie narysować konia, choćbym się wściekł. Nie mam pojęcia czemu. Próbowałem dziesiątki razy, nigdy mi się koń nie udał. I próby narysowania konia wykształciły we mnie ten osobliwy instynkt, który mówi mi, co narysować w stanie jestem, a czego nie. Otóż ten instynkt właśnie teraz mówi do mnie jasno, że Żyd liczący pieniądze jest poza moim zasięgiem. Podobnie jak koń. Ale mogę narysować Piłsudskiego. Piłsudskiego już rysowałem i wyszedł mi jak żywy.

Niestety, marszałka nie chcą w pośredniaku. Zabieram formularz z rubryczkami, które od góry do dołu są wypełnione pieczętkami i datami kolejnych wizyt, i idę do domu.

Jednak czy fakt, że nie jestem katechetą i nie umiem namalować Żyda liczącego pieniądze, to powód, aby pozbawiać się jedynej pewnej rzeczy w życiu?

Pani z Wysokiego Zamku mówi do mnie ze słuchawki telefonu, że ona czasem się nawet zastanawia, co ja mam w głowie, ale są też momenty, kiedy woli tego nie robić, i to jest właśnie taki moment. Dlaczego? Bo, po pierwsze, nie ma to większego sensu, ona i tak tego nie pojmie, a po drugie, w takich chwilach znowu traci szacunek. A w ogóle ta rozmowa trwa już za długo. Więc niech się zdecyduje: pobieram sprzęt i pobieram samochód czy na moją dokumentację ma jechać ktoś inny? Znaleźć kogoś innego nie będzie dużym problemem. No to się zgadzam jechać na dokumentację. Pani z Wysokiego Zamku mówi, że w jej przekonaniu to jest dobry wybór i nie wyklucza, że będą ze mnie ludzie i że ja sam być może z tego swojego wyboru będę kiedyś zadowolony. Ale jak to się mówi, to zależy tylko ode mnie.

Połączenie zostaje przerwane, przez moment słucham ciągłego sygnału. Potem wciskam klawisz opatrzonego symbolem czerwonej słuchawki. Przez chwilę stukam telefonem o udo, wpatrując się w martwy wyświetlacz. Zgodziłem się. Czy to dobrze? Wiem, że nie zrobiłem źle, ale to też nie znaczy, że uczyniłem dobrze. I najważniejsze pytanie: co się teraz wydarzy? Odrywam wzrok od wyświetlacza telefonu i patrzę w dół. W podłodze, tuż przy sprzęgle, jest dziura. Mam w podłodze samochodu kilka dziur, ale ta jest moją ulubioną, fascynuje mnie. Często patrzę przez nią w czasie jazdy na umykający asfalt.

E-book dostępny na
woblink.com





KSIĄŻKA, PO KTÓREJ JUŻ NIGDY NIE SPOJRZYSZ NA ŚWIAT TAK SAMO

Spotkałem natchnionych uzdrowicieli obojga płci, mistyków, szaleńców oraz paru uroczych hochsztaplerów. Przeszywano mnie energią różnej proveniencji: kosmiczną, boską, osobistą, energią ziemi i powietrza, energią wody i ognia. Przyzywano do pomocy duchy przodków, wyganiano demony, przywoływano demony, mierzono kolor i intensywność aury [...], cięto mi skórę na czaszce, spuszczano krew, chłostano mnie wrzącą wodą, zachęcano do jedzenia robaków, obkładano wnętrznościami, oczyszczano z klątw i diagnozowano choroby, o których istnieniu nie miałem bladego pojęcia.

Fenomenalnie napisany reportaż na podstawie programu Kossakowski. Szósty zmysł. Podróż przez Polskę, Ukrainę, Balkany i Rosję otwiera oczy, wprawia w zdumienie i wstrząsa. Kossakowski na własnej skórze doświadcza praktyk znachorów, uzdrowicieli, wróżów, ekstrasensów, szeptunek i bio-energoterapeutów. Jest przewodnikiem po świecie, w którym nie ma prostych odpowiedzi.

Przemek Kossakowski robi to, na co ja często nie mam odwagi: wnika w światy groźne, mroczne, kuriozalne, zabawne i nie jest tylko ich obserwatorem – dotyka ich zawsze gołymi rękoma, nawet jeśli czasem się poparzy.

TOMEK MICHNIEWICZ

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-329-3



Cena detal. 39,90 zł

www.otwarte.eu

PARTNER GŁÓWNY



PATRONI MEDIALNI

allegro



lubimy czytać.pl